

Fuchs, Gunther

Czy wiesz, że...

Nasze Korzenie 5, 80-81

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Gunther Fuchs

Na różnych portalach historycznych, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech, pojawił się jakiś czas temu nieznanym dotąd użytkownik „fuchsi”. Ustaliliśmy, kim jest i poprosiliśmy go, by na łamach naszego pisma sam się przedstawił i powiedział coś o swoich korzeniach. Redakcja

Urodziłem się po drugiej wojnie światowej w części Niemiec, zwanej wtedy jeszcze „Land Sachsen” (land Saksonia), która w roku 1949 stała się jednym z okręgów Niemieckiej Republiki Demokratycznej, państwa mającego za cel budowę socjalizmu i komunizmu. Miało to dla mnie określone konsekwencje. Wspominam te początki niezbyt miło.

Tata mój urodził się we Wrocławiu, wtedy jeszcze nazywanym „Breslau”. Przyszedł na świat w biednej rodzinie, praca dla dziadka, którego nigdy nie poznałem – nawet zdjęcia po nim nie pozostały – nie zawsze była. Rodzina żyła z dnia na dzień. Babcia nic nie wspominała o tamtych czasach. Po dziadku pozostał w rodzinnych papierach tylko kwit z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Hitlerowcy wystawili rachunek za przewiezienie trumny z obozu do Breslau.

Tatuś mój postanowił coś zrobić, by uniknąć tej biedy, która była udziałem jego rodziny. Zaczął się uczyć. Pracował w filii Deutsche Bank w Breslau, gdzie woził wózkami ręcznymi bankowe dokumenty od jednej filii do drugiej. Później zgłosił się na zawodowego żołnierza na 12 lat do Wehrmachtu. Tam proponowali mu lepsze warunki życia i szkolenie zawodowe. Walczył w szeregach 20. Infanterie Division (20. dywizja piechoty) w Polsce, we Francji i północnej Rosji. Kilkakrotnie był ranny. Wojnę zakończył we Włoszech i... na polach bawełny w Teksasie, gdzie pracował jako jeńiec wojenny. Ojciec bardzo mało mówił o swoich doświadczeniach i przeżyciach wojennych. Wspominał m.in. o walkach pod Leningradem, gdzie Niemcy i Rosjanie bili się o pewien drewniany budynek, w którym można było się schronić przed trzydziestostopniowym mro-

zem. Zabitych układali pod ścianami, niczym worki z piaskiem, aby uzyskać ochronę przed kulami. Do Breslau już nigdy nie wrócił. Powrócił do żony, do Saksonii. Ona, córka emerytowanego cesarskiego żandarma, w czasie drugiej wojny światowej pielęgniarka, w ogóle nie przekazywała żadnych informacji o tamtych czasach. Jej rodziców nie poznałem, zmarli krótko po wojnie. W jej rodzinie było coś nietypowego. Mianowicie jej brat był jakimś sekretarzem partii komunistycznej, jego żona zaś była członkiem rady kościelnej. W NRD było to naprawdę niezwykle.

Dzieciństwo spędziłem w małym miasteczku – w Rudawach. Warunki życia były raczej trudne. Mówiono mi, że jako dziecko zjadałem wszystko, co było pod ręką. Lubiłem zupę z płatków owsianych z plewami, garnek po posiłku zawsze był czysty, nic nie zostawało.

Ów mały papierek z domowego archiwum dotyczący dziadka nabrał dla mnie po latach istotnego znaczenia, zobowiązał mnie bowiem do aktywnego udziału w walce przeciwko militarystom i faszystom. Wspominam jeszcze mój udział w szkolnym zespole agitacji (Agit-Prop Gruppe), w kampanii przekonywania chłopów, by wstępować do LPG (Landwirtschaftliche Produktionsgenossenschaft – rolnicze spółdzielnie produkcyjne). Sala była pełna, burmistrz zadowolony z naszych wystąpień, chłopcy nie za bardzo. Tylko jeden chłop był tak nieugięty, że odmówił wstąpienia do spółdzielni, żył później w naprawdę prymitywnych warunkach. Ale nam się wydawało, że to jego wina, byliśmy bowiem przekonani, że mamy budować lepsze czasy.



GUNTHER FUCHS W DZIECIŃSTWIE
(CHŁOPCZYK W BERECIE), Z MATKĄ I RODZĘŃSTWEM



Gunther Fuchs w dniu ślubu, Gostynin, 23 VII 2005.

CMENTARZ EWANGELICKI W GOSTYNINIE

Po podstawówce, przez następne dwa lata szkolnego życia, musiałem dojeżdżać do miasta powiatowego, siedem kilometrów w jedną stronę. Czasem wracałem do domu pieszo, to dla mnie był sport. Potem uczęszczałem do szkoły zawodowej, w której uczyłem się zawodu hutnika. Edukacja kończyła się maturą. Lekko nie było. Na maturze z historii zdawałem temat o powstaniu chłopskim w latach 1524-1526. Wynikało ono z działalności Lutra. Po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej wiodło mi się raczej kiepsko, nie mogłem znaleźć odpowiedniego kierunku studiów. Chciałem być nauczycielem, ale komisja mi wytłumaczyła, że najpierw mam się nauczyć... języka niemieckiego. Dla Saksończyka z urodzenia to praktycznie niemożliwe.

Po upadku muru berlińskiego zrozumiałem, że wszystkie moje marzenia o studiach „zniszczyła” moja ciocia, która już przed wojną mieszkała w Berlinie, a po wojnie znalazła się w zachodniej części miasta. Władzy w NRD bardzo nie podobało się, jeśli ktoś miał rodzinę na Zachodzie. Musiałem więc znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pracowałem przez jakiś czas, zarabiałem, miałem przyjaciółkę. Pewnego razu zaproponowano mi pracę w policji. Sto marek więcej było przekonującym argumentem. Z planowanych pierwotnie trzech lat pracy w tej instytucji zrobiło się trzydzieści cztery. W roku 1994 kierownictwo postanowiło powołać zespół do współpracy z Polakami. Zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Zmieniło to całe moje życie. Znalazłem pracę odpowiednią dla mojego charakteru. Byłem samodzielny, odpowiedzialny, codziennie miałem nowe sytuacje, nowe wyzwania. Były to moje najlepsze lata w policji. Chętnie je wspominam. W tym czasie poznałem też moją żonę – Polkę. Kiedy musiałem przejść na emeryturę, powstała nowa sytuacja. Musiałem się zdecydować, gdzie będę mieszkać. Moje dzieci były już dorosłe, więc zdecydowałem się zamieszkać w Polsce, w Gostyninie. Nie każdy to rozumiał i rozumie.

Być emerytem... Każdy sądzi, że emeryt ma dużo wolnego czasu. Nic podobnego! Na początku trochę się nudziłem. Lecz kiedy żona pokazała mi był cmentarz ewangelicki w Gostyninie, zaczęła się moja przygoda. Cmentarz był zdewastowany, brudny, pełen śmieci, miejsce spotkań pijaków. Przysnaję, dobre miejsce sobie wybrali. Nikt się tym miejscem nie interesował oprócz burmistrza Gostynina, który zlecał sprzątanie zawsze przed dniami miasta, bo wtedy przyjeżdżały delegacje z Zachodu. Obecnie ja się tym cmentarzem opiekuję, staram się o utrzymanie czystości. Znalazłem na cmentarzu pomnik żołnierzy poległych w czasie pierwszej wojny światowej, co wzbudziło moje zainteresowanie wydarzeniami tego okresu na terenie powiatu gostynińskiego. Teraz mogę powiedzieć, że wiem już co nieco na ten temat, ale wciąż mi mało. Wstępne wyniki swoich poszukiwań mógłbym przedstawić w następnych numerach czasopisma „Nasze Korzenie”.

Długo nie mogłem uwierzyć w to, że Polacy tak mało, a w powiecie gostynińskim prawdopodobnie bardzo mało, interesują się tymi wydarzeniami. Przecież Polska odrodziła się w wyniku Wielkiej Wojny 1914-1918. Dlaczego Polacy się tym nie interesują?

Ale o tym więcej w następnym artykule. ■



Wejście na cmentarz.



Jedna z tablic nagrobnych.



Zniszczone groby.

Pomnik żołnierzy poległych w czasie pierwszej wojny światowej.

